

TEN DZIEŃ OD POCZĄTKU

NATALIA FIEDORCZUK

Ten dzień od początku był jakiś dziwny. Wszystkim, którzy zostali dzisiaj w domu: dziewczynom i dziecku, od samego przebudzenia nie dopisywał humor. Trudno było mówić o upale. Na zewnątrz było może dwadzieścia dwa stopnie, jednak panował specyficzny, przymglony zaduch, który mógł zwiastować rychle załamanie pogody, jakieś nieprzyjemne deszcze, które zwykle nawiedzają to miasto w październiku i listopadzie. Po obiedzie mały nie chciał zasnąć. Snuł się chwiejnym, marynarskim krokiem w samej pieluszcze, od czasu do czasu szukając oparcia w regałach, kanapie, krawędzi stołu, nogach siedzących na krzesłach i chodzących z pokoju do pokoju dorosłych. Ciotka Z. siedziała przy dużym stole w salonie. Z zaciętą miną stukiała w klawisze laptopa, rejestrując kątem oka małą, ubrudzoną jeszcze obiadem rączkę, która wczepiała się w jej udo powyżej kolana.

– Prosiaczku, ciocia pracuje... – mamrotała, głaszcząc pulchne przedramię chłopczyka. Mały wykonywał wtedy kilka niecierpliwych półprzysiadów, stękając w niezadowoleniu. Chciał zasiąść na kolanach Z. i badać średnio czystą łapką klawiaturę, ekran i gładzik MacBooka.

Tego dnia niania nie przyszła do domu. Zadzwoiła przed ósmą: jej córeczka miała temperaturę, trzeba było wybrać się do lekarza. Matka dziecka w czasie rozmowy kiwała głową ze zrozumieniem, ale była nieobecnością opiekunki wyraźnie zirytowana: czekało na nią sporo pracy i chciała załatwić wszystko na jednym popołudniowym posiedzeniu z Z., tak by mieć wolny wieczór. Tymczasem od rana zmagą się z wyraźnie

znudzonym maluchem, którego średnio interesowały proponowane mu zabawki, śpiewane piosenki, a nawet włączony na chwilę telewizor. Synek rzucał dookoła gniewne spojrzenia, trzymając w buzi zaślinioną dłoń. Od czasu do czasu popłakiwał. Zastygał też w niemym, ale spektakularnym grymasie dezaprobaty, kiedy matka zabraniała mu jego ulubionej ostatnio, zakazanej rozrywki, polegającej na wyciąganiu książek z regału w gabinecie i rzucaniu ich nonszalanckim gestem za siebie.

Już około dwunastej matka czuła, że traci cierpliwość do dąsów małego. Na karku, dokładnie w miejscu między szyją a czaszką, zaczynał pulsować implozywny, tępy ból, który stopniowo promieniował w stronę uszu, skroni i czoła.

– Kochana, położę się na chwilę, a potem zjemy. Przejmiesz go? – poprosiła ciotkę. – Zaraz oszaleję z tym marudą. W nocy też spał może dwie godziny.

Kiedy ciotka próbowała zmajstrować coś na kształt teatru kukielkowego, w którym grała rękawica kuchenna, szczotka i pomidor, matka ugotowała szybki obiad. Ryż z warzywami i jogurtem. Zjadły w kuchni tuż po trzynastej. Matka nie mogła znaleźć śliniaka i rozważała przez chwilę telefon do niani. Zdjęła w końcu synkowi cienką koszulkę, zrezygnowana zostawiając małego w samej pieluszcze. Nie znosiła niedopranych, wysmarowanych jedzeniem ubranek.

– Niech się brudzi, łatwiej go potem umyć, niż spierać to gównno z ciuchów.

Chłopczyk skorzystał z tej możliwości skwapliwie. Gniótł w łąpkach brokoły, bełtał w miseczce z ryżem, a nawet wychylał się niebezpiecznie ze swojego tripp-trappa, by sięgnąć do talerza matki. Ostatecznie zjadł w sumie tylko trochę pokrojonego mango. Po tym jak ciotka wyciągnęła go z krzeselka do karmienia, chwycił ją za rękę i zaprowadził do kredensu, wskazując paluszkami kierunek ukrytej w górnej szafeczce puszeki z sucharami. Popatrzył strapiiony na matkę.

– Tu. To – wyrzekł.

Matka westchnęła z rezygnacją i dała synkowi dwa biscotti.

– Prosiaczk... – zaśliniona łąpka chłopczyka pocierała teraz jasne dżinsy ciotki Z. – Prosiaczk, poczekaj chwileczkę, tylko tu wpiszę do komórki.

Zoja zza stołu w salonie słyszała krzątającą się po kuchni przyjaciółkę. Budżet konferencji był już nieomal zamknięty, klient w Getyndze czekał na ostateczny dokument. Jeszcze tylko potwierdzenia z czterech hoteli. Spojrzała na malca, który zaciskał dłoń na jej udzie.

– Czekaj, wytrę ci buzię. – Zaczęła rozglądać się za paczką mokrych chusteczek, które były strategicznie porozkładane po całym domu.

Sięgnęła po jedną, porzuconą na środku eleganckiej, bukowej konsoli. Chłopiec sunął za nią jak cień, lecz kiedy ciotka odwróciła się, pochylona w jego stronę, wymierzając dłoń z chustką zwisającą z palców w sam środek jego twarzy, zaczął zirytowany kręcić główką na boki, wydając przy tym niezadowolony skrzek. Spróbowała wziąć go na kolana i w ten sposób zetrzeć zaschnięte wokół ust resztki, ale małe ciało wiło się i protestowało. Zrezygnowana odłożyła chusteczkę i odświeżyła okno programu pocztowego. Dziecko, plaskając bosymi stopami po chłodnej posadzce, oddaliło się w stronę kuchni.

Do odgłosów odkurzacza dołączył jednostajny szum zmywarki. W kieszeni ciotki zawibrował telefon. Dzwonił jej mąż, był w mieście i pytał o wieczorne plany.

– Położymy małego spać, wróci Stefan, może obejrzymy jakiś film? – Była czternasta. Getynga czekała na potwierdzenia budżetu do czwartej. – Stefan ma być dzisiaj w telewizji, czekaj, włączę. No, pa.

Poszukała pilota, zmieniła kanał na informacje krajowe. Stefan, ekspert międzynarodowego prawa gospodarczego, siedział w studiu ubrany w elegancki lniany garnitur. Był w towarzystwie prowadzącego i jakiejś kobiety, ostrej brunetki o zaciętej, ale atrakcyjnej twarzy. Miała na sobie czerwoną marynarkę. Zoja zawiesiła się na chwilę, wpatrzona w czerwoną plamę na dużym plazmowym odbiorniku ulokowanym na ścianie nad konsolą. Na żółtym pasku migały kursy walut i przesuujące się napisy w obcym języku, języku obcym ciotce Z. Zidentyfikowała tylko słowa „Putin” i „Rosja”. Chciała zawołać krzątającą się po kuchni przyjaciółkę, ale zrezygnowała. Przyciszyła fonię i znów usiadła do laptopa. Odpowiedź z jedną wyceną rezerwacji właśnie zamigotała w dole ekranu. Ciotka Z. przeczytała wiadomość i zaczęła wpisywać rzędy cyfr do miniaturowych okienek szablonu preliminarza.

Musiało zająć jej to kilka minut. Kwota była wyższa, niż się spodziewała. Uszczknęła trochę z działki obsługi konferencji i zdecydowała się na tańszą wersję dość luksusowego wyżywienia gości podczas kolacji zamykającej wydarzenie. Wysłała wiadomości do kontrahentów. Lubiła swoją pracę. Nie musiała martwić się o codzienne dojeżdżanie do biura. Do Ochrydy przyjaciółka ściągnęła ją na początku roku. Chłopczyk był jeszcze bardzo malutki, jego matka potrzebowała pomocy przy rozkręcającym się biznesie, a ciotka Z. właśnie straciła wysokie stanowisko w stolicy, razem ze służbowym mieszkaniem. Spakowali się z mężem w trzy duże walizki, mówiąc sobie, że życie z młodą rodziną: przyjaciółką, niemowlakiem i Stefanem, przygotuje ich jakoś na własne dzieci, które na razie mający gdzieś daleko na horyzoncie. Ciotce Z. łatwo przychodziło podejmowanie szybkich decyzji o zmianach, lubiła w sobie tę cechę. Mimo to zdawała sobie sprawę, że dzieci to zmiana trochę mniej odwracalna niż gwałtowna przeprowadzka w odległy zakątek Europy.

Jednak chłopczyk przyjaciółki ją rozczulał. Był dzieckiem żywotnym, pyzaty i energicznym. Zaczął chodzić bardzo szybko, miał chyba dziesięć miesięcy. Mówił już pierwsze słowa, chichotał łaskotany, uwielbiał z wzajemnością domowego kota. Ciotka Z. coraz częściej przed pójściem spać wspominała mężowi, że jeszcze tylko jedno opakowanie pigułek, a może po tym projekcie, może kiedy on dostanie już oficjalny status korespondenta, miało się to stać w przeciągu najbliższych tygodni, no, kochanie, może już nie czekajmy? W jej rozważaniach, snutych w półmroku sypialni, ciał się jednak cień wahania, jakiś opór. Mąż też był niezdecydowany. Uwielbiał synka przyjaciół i miał do przyszywanego bratanka ocean ciepłości, czuł, że jest gotowy, ale no, może jeszcze trochę, słońce, poczekam na oficjalne potwierdzenie i kontrakt, jeszcze chwilka. Żyli aktualnie w sytuacji wymarzonej: wielki dom, który wynajmowała matka dziecka ze swoją młodą rodziną, miał nawet dwa dodatkowe pokoje, z których jeden mógłby posłużyć za sypialnię kolejnego dziecka. Ubranka, z których wyrósł synek, czekały poskładane w szafie. Było też towarzystwo przyjaciół. Ciotka Z. bała się samotności pierwszych miesięcy macierzyństwa, ogromu odpowiedzialności, były też

takie dni jak ten, kiedy dziecko marudziło i kwękało, nie było niani, a popołudnie się dłużyło. Dostrzegła wtedy w oczach matki ten specyficzny cień zmęczenia i irytacji, nieobecności, które to uczucia przyjaciółka tłumaczyła nawracającymi migrenami, częstą poporodową przypadłością. Ciotka Z. bała się, czy jej raptowny temperament i niechęć do wykonywania czynności rutynowych, nużących i bezcelowych – chociażby takich, jak czyszczenie buzi niechętneho dziecka – nie sprawią, że będzie matką niecierpliwą, trochę nieszczęśliwą, opędzającą się od złaźnionego uwagi potomstwa. Ciotka odwróciła wzrok od skończonej, gotowej do wysłania tabeli z projektem budżetu chwilę przed tym, kiedy przyjaciółka wyłączyła w kuchni odkurzacz. Teraz słyhać było tylko szmer przyciszzonego telewizora w pokoju dziennym i bulgot zmywarki. Wstała, by zaparzyć herbatę. Przechodząc przez hall, zauważyła, że drzwi na taras są uchylone i trzaskają lekko pod wpływem przeciągu. Telewizor w kuchni był włączony, Stefan ciągle siedział w studiu i żywo, chociaż teraz bezgłośnie, gestykulował w stronę swojej ciemnowłosej rozmówczynie. Przyjaciółka musiała wyciszyć dźwięk, może miała po prostu ochotę tylko popatrzeć na przystojnego męża? Ciotka Z. włączyła czajnik elektryczny i wyrzała przez okno kuchenne. Taras był rozległym, drewnianym podestem wystającym zaledwie kilkanaście centymetrów ponad poziom ogrodu. By zejść na trawę, wystarczyło pokonać dwa niewysokie, drewniane stopnie. Po lewej stronie stało kilka położonych jeden na drugim ogrodowych leżaków. Na trawie walało się sporo kolorowych zabawek dziecka: taczka, gigantyczna ciężarówka o obłym kształcie, wiaderka, foremki, jeździk w kształcie ślimaka z czułkami. Dziecięce przedmioty – duże kolorowe plamy na trawie – drażniły spojrzenie jak powidok, kontrastowe i zdumiewające w chłodnym, zachmurzonym świetle ochrydzkiego popołudnia. Na prawo od tarasowych schodków, obok piaskownicy, wila się wyłożona wygładzonym piaskowcem wąska ścieżka, która kończyła się kamiennym obramowaniem niewielkiego, nieregularnego basenu, a w zasadzie oczka wodnego. Zbiornik nie miał więcej niż cztery metry średnicy w najszerszym miejscu, był jednak dość głęboki już przy samej krawędzi – kiedy mąż ciotki Z. wskakiwał do niego latem, woda sięgała mu do pach. „W zasadzie można by było go już przykryć” – pomyślała i w tym samym momencie dostrzegła okrągły, ciemny kształt, skulony przy brzegu basenu.

Przyjaciółka klęczała z plecami wygiętymi w okrągły grzbiet, niemal jak podczas zajęć z gimnastyki kręgosłupa. Jej łokcie dotykały ziemi. Była odwrócona tyłem do kuchennego okna, przedramiona i dłonie były niewidoczne, długie, mokre włosy dotykały ziemi. Jej ciemna bluzka przykleiła się do pleców, tak że wyraźnie widać było pasek i zapięcie stanika, delikatnie wrzynającego się w ciało. Kobieta nie poruszała się. Ciotka Z. wpatrywała się w nią przez chwilę, zanim zidentyfikowała ten niecodzienny kształt jako osobę, nie kolejny powidok, zanim przyjaciółka powoli zaczęła prostować plecy i podnosić głowę. Zanim zauważyła, że trzyma ona w rękach jakiś bezwładny, spory przedmiot, jeszcze różowe, ale już utopione, nieruchome dziecko. Zanim usłyszała przenikliwy, ochryply wrzask, niepodobny do niczego, co słyszała do tej pory. Zanim jeszcze raz, nie wiedzieć czemu, odwróciła głowę w stronę telewizora, w którym usta Stefana mówiły coś bezgłośnie w niezrozumiałym dla niej języku. |